

Bestseller New York Times a

Ambitna i niezwykła,
jak na pierwszą powieść
mierzy wysoko...

THE WASHINGTON POST
BOOK WORD



ZDAŹYĆ PRZED ZMROKIEM

TANA FRENCH

PROLOG

Wyobraźcie sobie lato prosto z planu filmowego o dojrzewających nastolatkach w małym miasteczku z lat pięćdziesiątych. Żadną tam irlandzką, subtelną przyprawę, która została zmieszana na użytek podniebienia konesera, żadne niuanse akwarelowe ze szczyptą chmur i delikatnego deszczu; to lato pełną gębą, ekstrawaganckie w gorącym, czystym, jedwabistym błękicie. Ekspłduje na języku i smakuje przeżutymi źdźbłami trawy, potem, herbatnikami z masłem, które przecieka przez dziurki, i czerwoną oranżadą ze wstrząśniętej butelki, konsumowanymi w domku na drzewie. Smaga twarz wiatrem podczas jazdy rowerem, jest biedronką maszerującą po ramieniu, z każdym oddechem pakuje do ust zapach skoszonej trawy, wydyma bieliznę wiszącą na sznurach, dzwoni i tryska nawoływaniem ptaków, bzyczeniem pszczoł, szelestem liści, dźwiękami uderzeń piłki i monotonnym recytowaniem podczas skakania przez skakankę: Raz! Dwa! Trzy! To lato nigdy się nie skończy. Każdego dnia zaczyna się od melodyjki samochodu z lodami i pukania najlepszego przyjaciela do drzwi, kończy się długo i powoli zapadającym zmierzchem i sylwetką matki wołającej do domu, gdy nietoperze przenikliwie piszczą wśród czarnych koron drzew. To lato wystrojone i w pełnej krasie.

Wyobraźcie sobie labirynt czyściutkich domków na wzgórzu, zaledwie kilka kilometrów od Dublina. Któregoś dnia, jak zadeklarował rząd, powstaną tu tętniące życiem cuda infrastruktury podmiejskiej, doskonale rozplanowane rozwiązanie, które zaradzi przeludnieniu, wzrastającemu poziomowi biedy i wszelkim bolączkom miejskim, ale

teraz to tylko garstka sklonowanych bliźniaków, na tyle jeszcze nowych, że wyglądają na wzgórzu olśniewająco i nieporadnie. Podczas gdy rząd rozplywa się nad McDonalдами i multipleksami, kilka młodych rodzin – w ucieczce przed czynszówkami i toaletami na zewnątrz, o których się nie wspomina w Irlandii lat siedemdziesiątych, albo marząc o wielkich ogrodach za domem i miejscu do zabaw dla dzieci, albo po prostu kupując domy na tyle blisko miasta, na ile pozwalają im pensje nauczycieli i kierowców autobusowych – pakuje foliowe worki na śmieci i wystawia je wzdłuż dwukierunkowej drogi, pośrodku której rośnie trawa i stokrotki, na nowy początek.

To było dziesięć lat temu, a mętny blask jarzeniówek centrów handlowych i domów kultury przywoływany pod nazwą „infrastruktura” jak dotąd jeszcze się nie zmaterializował (mniej ważni politycy od czasu do czasu grzmieli w parlamencie o podejrzanych interesach z ziemią). Rolnicy nadal wypasali krowy po drugiej stronie drogi, a noc zapalała rzadką konstelację światła na sąsiednich wzgórzach, za osiedlem, gdzie pewnego dnia na planach pojawi się centrum handlowe oraz zadbane skwer; osiedle zajmuje dwa i pół kilometra kwadratowego ziemi, wokół której rozciąga się od wieków las.

Przenieśmy się bliżej, ruszmy za trójką dzieci, które wdrapują się na cienką przegrodę z cegieł i zaprawy, oddzielającej bliźniaki od lasu. Ich ruchy są doskonałe w niewidoczny sposób, są sprawni i nieskrepowani, niczym lekkie samoloty. Białe tatuaże – błyskawica, gwiazda – połyskują bielą w miejscu, gdzie jeszcze niedawno był plaster, a teraz skórę opala na brązowo słońce. Wiatr rozwiewa blond włosy: stopień, kolano na murze, do góry, przez mur i znikają.

Las to jedno wielkie migotanie i szept, i iluzja. Jego cisza jest puentylistycznym spiskiem miliona głosików – szelestów, podmuchów, bezimiennych zduszonych pisków; jego pustka obfituje w tajemne życie, umykający z tupotem cień dostrzegany kątem oka. Uważaj: pszczoły prują do i z gniazd w szczelinach dębu; zatrzymaj się, odwróć pierwszy lepszy kamień, a zobaczysz dziwną larwę, która się wije z irytacją, a tymczasem na nogę wmaszeruje ci sznur pracowitych mrówek. W zrujnowanej wieży, czyjeś porzuconej twierdzy, gdzie między kamieniami są pajęczyny grube jak nadgarstek, o świetle króliki wyprowadzają swoje małe z fundamentów, by bawiły się na

prastarych grobach.

Lato należy do trójki dzieci. Znają las jak własną kieszeń, jak mikropejzaże zadrapań na kolanach, wystarczy nałożyć im na oczy opaskę, postawić w zadrzewionej dolinie lub w przesiece, a znajdą drogę do wyjścia, nie myląc ani razu kroku. To ich terytorium i rządzą nim z dzikim i królewskim rozmachem niczym młode zwierzęta, wspinają się po drzewach i bawią w chowanego w dziuplach całymi dniami, i nocami we snach.

Biegają prosto w legendę, w historię na dobranoc i koszmary, których rodzice nigdy nie usłyszą. Na ledwie widocznych, zagubionych ścieżkach, których nigdy byście sami nie znaleźli, koziołkują wzdłuż zrujnowanych murów, ciągną się za nimi nawoływania i sznurówki niczym ogony komet. A kto czeka na brzegu rzeki z dłońmi w wiklinie, czyj śmiech spływa kaskadami z gałęzi wysoko na drzewie, czyją twarz chwytaś kątem oka, twarz ze światła i cienia liści, która znika w mgnieniu oka?

Te dzieci nie urosną ani tego, ani następnego lata. Ten sierpień nie zachęci ich do znalezienia ukrytych rezerw siły i odwagi, gdy staną twarzą w twarz ze złożonością świata dorosłych i odejdą smutniejsze i mądrzejsze, i naznaczone na całe życie, to lato ma wobec nich inne plany.

1

Na początek chcę was ostrzec, byście nie zapominali o tym, że jestem detektywem. Nasz związek z prawdą jest niczym pęknięta podstawka, która załamuje światło i dezorientuje obserwatora jak rozbite szkło. Prawda to fundament naszych karier, ścigamy ją za pomocą strategii skrupulatnie zbudowanych z kłamstw i skrywanych faktów oraz przeróżnych wariacji na temat podstępów. Prawda to najbardziej pożądana kobieta na świecie, my zaś jesteśmy jej najbardziej zazdrosnymi kochankami, odruchowo odmawiamy komukolwiek najmniejszego choćby spojrzenia w jej stronę. Zdradzamy ją rutynowo, spędzając godziny i dni utyłani w kłamstwie, a następnie odwracamy się od niej, wyciągając jako argument kochanka niezwykle wstęgę Möbiusa: przecież to wszystko z miłości do ciebie.

Mam dobrą wyobraźnię, szczególnie gdy chodzi o tani i płytki rodzaj prawdy. Nie dajcie mi się zwieść i nie patrzcie na nas jak na grupę walecznych rycerzy galopujących na białych rumakach w pogoni za Jaśnie Panią Prawdą. Tak naprawdę robimy rzeczy prostackie, chamskie i wstrętne. Na przykład dziewczyna dostarcza swojemu chłopakowi alibi na wieczór, gdy tymczasem my podejrzewamy go o napad na sklep Centra w północnej części miasta i zadżganie nożem pracownika. Najpierw z nią flirtuję, mówię, że skoro ma taką dziewczynę, to rozumiem, dlaczego chciał zostać w domu; dziewczyna ma tlenione, tłuste włosy i płaską, skarłowaciałą twarz odziedziczoną po niedożywionych przodkach i osobiście uważam, że gdybym był jej chłopakiem, to z ulgą bym ją

przehandlował, nawet w zamian za owłosionego współwzięnia z celi o ksywie Brzytwa. Potem mówię jej, że w jego szykownych, białych spodniach od dresu znaleźliśmy oznaczone banknoty z kasy sklepowej, a on twierdzi, że to ona wychodziła tego wieczoru i dała mu je, kiedy wróciła.

Robię to tak przekonująco, z tak kunsztownie skrywanym skrępowaniem i współczuciem z powodu zdrady jej mężczyzny, że w końcu wiara dziewczyny w cztery wspólne lata rozpada się niczym domek z kart, a ona sama przez łzy wydymuchując nos, opowiada mi wszystko od momentu, gdy wyszedł z domu, łącznie ze szczegółami dotyczącymi jego niedoskonałości seksualnych, podczas gdy w tym samym czasie jej mężczyzna siedzi z moją partnerką w pokoju przesłuchań obok i nie da się z niego wyciągnąć nic poza: „Odpierdol się, byłem w domu z Jackie”. Potem głaszczę ją delikatnie po ramieniu i podaję chusteczkę oraz kubek herbaty wraz z protokołem przesłuchania.

Taka właśnie jest moja praca i nie należy się do niej brać – a nawet jeśli, to nie na długo – bez swego rodzaju naturalnej sympatii dla jej priorytetów i wymagań. Zanim zaczniecie czytać, chciałbym wam powiedzieć dwie rzeczy: że pragnę prawdy. I że kłamię.

• • •

Oto, co przeczytałem w aktach w dniu, w którym zostałem detektywem. Będę nieustannie, na różne sposoby, wracał do tej historii. Pewnie to i smutne, ale za to moje: to jedyna historia na świecie, którą tylko ja mogę opowiedzieć.

We wtorek po południu, czternastego sierpnia 1984 roku, trójka dzieci – Germanie (Jamie) Elinor Rowan, Adam Robert Ryan oraz Peter Joseph Savage, każde miało dwanaście lat – bawiła się na drodze, przy której stały ich domy w małym miasteczku Knocknaree w hrabstwie Dublin. Ponieważ był to gorący, bezchmurny dzień, wielu mieszkańców przebywało w swoich ogrodach i wielu świadków widziało dzieci o różnych godzinach popołudnia, jak chodziły po murze na końcu drogi, jeździły na rowerach i huštały się na starej oponie.

Knocknaree było w tamtym czasie słabo zabudowane, a do osiedla przylegał spory las, oddzielony od niego wysokim na półtora metra

murem. Około trzeciej po południu trójka dzieci zostawiła rowery w ogródku przed domem Savage'ów i poinformowała panią Angelę Savage – która właśnie wieszała pranie na sznurze – że idą się bawić do lasu. Robiły tak często i znały każdą piędź lasu, dlatego pani Savage nie bała się, że mogłyby się zgubić. Peter miał na ręce zegarek, więc kazała mu wrócić do domu przed wpół do siódmej, na kolację. Rozmowę tę potwierdziła sąsiadka z domu obok, pani Mary Therese Corry, a wielu świadków widziało, jak dzieci wspinają się na mur na końcu drogi i idą do lasu.

Kiedy Peter Savage nie wrócił do domu przed osiemną czterdzieści pięć, matka zadzwoniła do matek pozostałej dwójki, zakładając, że poszedł do któregoś z przyjaciół. Żadne z dzieci nie wróciło. Peter Savage zazwyczaj był słowny, ale rodzice jeszcze nie zaczęli się niepokoić, zakładali, że dzieci zajęły się zabawą i zapomniały sprawdzić, która jest godzina. Mniej więcej pięć minut przed siódmą pani Savage poszła w stronę lasu, stanęła na skraju i zaczęła wołać dzieci. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, nic, co wskazywałoby na to, że ktoś w ogóle jest w lesie.

Wróciła do domu, by podać kolację mężowi, Josephowi Savage, oraz czwórce młodszych dzieci. Po kolacji pan Savage oraz pan John Ryan, ojciec Adama Ryana, weszli głębiej w las, nawoływali dzieci, lecz znów nie usłyszeli żadnej odpowiedzi. Dwadzieścia pięć minut po ósmej, kiedy zaczęło się ściemniać, rodzice zaczęli się poważnie martwić, że ich pociechy mogły się zgubić, i panna Alicia Rowan (matka Germanie, samotna), która miała w domu telefon, zadzwoniła na policję.

Rozpoczęło się przeczesywanie lasu. Zaczęto się obawiać, że dzieci mogły uciec. Panna Rowan postanowiła wysłać Germanie do szkoły z internatem w Dublinie, gdzie miała przebywać w ciągu tygodnia i wracać do Knocknaree na weekendy; szkoła zaczynała się za dwa tygodnie i cała trójka bardzo się denerwowała z powodu rozstania. Wstępne przeszukania przeprowadzone w pokojach dzieci wykazały jednak, że nie zniknęły żadne ubrania, pieniądze ani rzeczy osobiste. W nietkniętej skarbonce matrioszce Jamie znaleziono pięć funtów i osiemdziesiąt pensów.

O dwudziestą drugą dwadzieścia jeden z policjantów odnalazł Adama Ryana w gęsto zalesionym rejonie, w pobliżu środka lasu,

chłopiec stał, mocno przyciskając ręce i plecy do ogromnego dębu. Paznokciami przebił korę. Wyglądało na to, że znajdował się tam od jakiegoś czasu, ale nie odpowiadał na wołania poszukujących. Zabrano go do szpitala. Wezwano oddział z psami, który zajął się poszukiwaniami pozostałej dwójki wokół miejsca, gdzie znaleziono Adama; lecz psy wkrótce zgubiły ślad.

Kiedy mnie znaleziono, miałem na sobie niebieskie dżinsowe spodenki, biały bawełniany podkoszulek, białe bawełniane skarpetki oraz białe sznurowane tenisówki. Buty były mocno zakrwawione, skarpetki mniej. Późniejsze badania śladów krwi wykazały, że krew przeciekła przez buty na wylot; przesiąkła też przez skarpetki, tyle że z zewnątrz do środka. To znaczyło, że buty zostały zdjęte, a następnie do środka wiano krew; trochę później, kiedy zaczęła już krzepnąć, nałożono mi je z powrotem, stąd krew na skarpetkach. Na podkoszulku znajdowały się cztery równoległe rozdarcia, biegnące ukośnie przez plecy od połowy lewej łopatki do prawego żebra.

Poza kilkoma niewielkimi zadrapaniami na łydkach, drzazgami (później odkryto, że są identyczne z drewnem pochodzącym z dębu) pod paznokciami oraz głębokimi otarciami na kolanach, na których zaczynały się już robić strupy, nie byłem ranny. Nie wiadomo, czy obtarcia powstały w lesie, czy też nie, jako że pięcioletnia Aideen Watkins, która bawiła się na drodze, zeznała, że wcześniej tego samego dnia widziała, jak spadłem z muru na kolana. Jej zeznanie różniło się jednak za każdym razem, gdy opowiadała je od nowa, i nie zostało uznane za wiarygodne. Byłem w stanie bliskim katatonii: prawie przez trzydzieści sześć godzin nie wykonałem żadnego ruchu i nie odezwałem się ani słowem przez kolejne dwa tygodnie. Kiedy zacząłem mówić, nie pamiętałem nic od czasu wyjścia z domu tamtego popołudnia aż do badania w szpitalu.

Krew na butach i skarpetkach została zbadana pod kątem grupy – w Irlandii w roku 1984 nie było możliwości przeprowadzenia testu DNA – okazało się, że jest to grupa A plus. Moja krew również była grupy A plus, jednak uznano za mało prawdopodobne, żeby otarcia na kolanach, choć głębokie, mogły krwawić na tyle mocno, by krew wsiąkła w tenisówki. Germanie Rowan badano krew dwa lata wcześniej przed wycięciem wyrostka, a z karty wynikało, że i ona ma grupę A plus. Peter Savage, choć nie przeprowadzono badań jego krwi, został

wykluczony: obydwójce rodzice mieli krew grupy 0, a co za tym idzie, nie było możliwe, by on sam miał jakąkolwiek inną. Ponieważ nie udało się przeprowadzić jednoznacznej identyfikacji, śledczy nie mogli wyeliminować możliwości, że krew pochodziła od czwartej osoby, ewentualnie z kilku źródeł.

Poszukiwania trwały całą noc czternastego sierpnia oraz wiele tygodni później – grupy ochotników przeczesywały pobliskie pola i wzgórze, przeszukano wszystkie zakamarki, zajrzano w każdą najmniejszą dziurę, nurkowie sprawdzali rzekę, która płynęła przez las – bez skutku. Czternaście miesięcy później jeden z mieszkańców, pan Andrew Rafter, spacerując w lesie z psem, zauważył w poszyciu, około sześćdziesięciu metrów od drzewa, przy którym mnie znaleziono, charakterystyczny zegarek – na cyferblacie znajdował się obrazek grającego piłkarza, który jedną ręką sięgał do piłki – państwo Savage rozpoznali własność ich syna Petera. Pani Savage potwierdziła, że miał go na sobie tego popołudnia, gdy zaginął. Plastikowy pasek zegarka został oderwany od metalowego cyferblatu, prawdopodobnie przez nisko rosnącą gałąź, gdy Peter biegł. Laboratorium kryminalistyczne zidentyfikowało kilka częściowych odcisków palców na pasku i cyferblacie; wszystkie były zgodne z odciskami znalezionymi na osobistych rzeczach należących do Petera.

Pomimo licznych apeli policji oraz głośnej kampanii w mediach nigdy nie znaleziono żadnego śladu Petera Savage ani Germanie Rowan.

• • •

Wstąpiłem do policji, ponieważ chciałem być oficerem śledczym. Czas spędzony na szkoleniu w Templemore College oraz w służbie mundurowej, niekończące się skomplikowane ćwiczenia fizyczne, chodzenie po małych miasteczkach w odblaskowej kurtce, która wyglądała jak z kreskówki, dochodzenie, który z trzech podejrzanych, miejscowych delikwentów, wybił okno w szopie w ogrodzie pani McSweeney – wszystko to przypominało żenujący galimatias napisany przez Ionesco, próbę nudy, którą muszę przejść z jakiegoś pokręconego, biurokratycznego powodu, aby dostać wymarzoną pracę. Nie wspominam tamtych lat i co więcej, nie pamiętam ich już zbyt dobrze. Z nikim się nie zaprzyjaźniłem; obojętność wobec całego procesu,

przez który przechodziłem, wydawała mi się mimowolna i nieunikniona niczym efekt uboczny środka uspokajającego, ale inni gliniarze postrzegali moje zachowanie jako zamierzoną wyniosłość, wystudiowaną drwinę z ich solidnych, wiejskich korzeni oraz solidnych, wiejskich ambicji. Pewnie tak właśnie było. Niedawno odkryłem wpis do kalendarza ze szkoły policyjnej, w którym opisałem moich kolegów jako „stado wieśniaków debili z trzecim migdałem, którzy brodzą w miazmatach truizmu tak gęstego, że aż czuć bekon i kapustę, krowie gówno i świece na ołtarzu”. Nawet przy założeniu, że miałem zły dzień, myślę, że jest to dowód na pewien brak szacunku dla różnic kulturowych.

Kiedy dostałem się do wydziału zabójstw, nowe ubrania do pracy – pięknie skrojone garnitury z materiałów tak doskonałych, że zdawały się ożywać pod dotykiem palców, koszule o najsubtelniejszych błękitnych czy zielonych prążkach, miękkie niczym futerko królika kaszmirowe szaliki – wisiały już w mojej szafie prawie od roku. Uwielbiam niepisaną umowę dotyczącą przepisowego stroju. Była to jedna z pierwszych rzeczy, które zafascynowały mnie w tej pracy – to oraz prywatne, funkcjonalne, zawoalowane skróty: tajniacy, ślady, ekspertyza. W jednym z małych miasteczek, które przypominało miścinę z powieści Stephena Kinga, a gdzie zostałem oddelegowany po skończeniu Templemore, zdarzyło się morderstwo: klasyczny przypadek przemocy w rodzinie, którego efekty przerosły oczekiwania samego sprawcy. Ponieważ poprzednia dziewczyna mężczyzny zmarła w niewyjaśnionych okolicznościach, wydział zabójstw przysłał dwóch detektywów. Spędzili u nas cały tydzień; gdy tylko siedziałem przy swoim biurku, jednym okiem cały czas spoglądałem na automat do kawy, tak żeby w odpowiednim momencie wziąć kawę razem z detektywami, powoli nalewać sobie mleka i przysłuchiwać się potoczystemu, brutalnemu rytmowi ich rozmowy: kiedy kryminalistyka przyśle wyniki toksykologii, jak laboratorium zidentyfikuje ślady ząbków? Znów zacząłem palić, żeby móc wychodzić za nimi na parking, stać z papierosem kilka metrów dalej, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w niebo, i słuchać. Posyłali mi przelotne, niewyraźne uśmiechy, czasami słyszałem pstryknięcie zmatowiałej zapalniczki Zippo, zanim odwracali się do mnie bokiem, by powrócić do swych misternych, wielopłaszczyznowych strategii. Najpierw

weszać matkę, dać mu godzinę lub dwie, żeby posiedział w domu i pomartwił się, co ona mówi, a potem weszać go z powrotem. Przygotować pokój ze zdjęciami z miejsca zbrodni, ale tylko go tamtędy przeprowadzić, żeby nie miał czasu się dobrze przyjrzeć.

W przeciwieństwie do tego, co moglibyście sobie pomyśleć, nie zostałem detektywem z powodu jakiejś donkiszotowskiej potrzeby rozwiązania tajemnicy z dzieciństwa. Przeczytałem akta tylko raz, pierwszego dnia pracy, późnym wieczorem. Siedziałem sam w biurze wydziału przy biurku, na którym lampa była jedyną płamą światła w całym pomieszczeniu (zapomniane nazwiska wywoływały w mojej głowie echa, gdy czytałem zeznania spisane wypłowiałym długopisem, że Jamie kopnęła matkę, ponieważ nie chciała iść do szkoły z internatem, że grupa „niebezpiecznie wyglądających” nastolatków spędzała wieczory, włócząc się w pobliżu lasu, że matka Petera miała kiedyś siniaka na policzku), i nigdy potem do nich nie zająrzałem. Potrzebowałem takiej tajemnicy, o prawie niewidocznej fakturze, przypominającej alfabet Braille’a czytelny tylko dla wtajemniczonych. Dwaj detektywi z wydziału zabójstw, którzy na chwilę pojawili się na „cholernym zadupiu”, byli niczym czystej krwi konie, niczym artyści na trapezie, którzy w blasku światła doszli do perfekcji. Grali o najwyższą stawkę i w swojej grze byli ekspertami.

Wiedziałem, że to, co zrobili, było okrutne. Ludzie to dziki i bezwzględny gatunek; takie obserwowanie chłodnym, skupionym wzrokiem i delikatne dopasowywanie elementów układanki, aż zniknie podstawowy instynkt samozachowawczy człowieka, jest barbarzyństwem w najczystszej i najdoskonalej rozwiniętej formie.

• • •

O Cassie usłyszeliśmy na długo przedtem, zanim zaczęła pracować w wydziale, prawdopodobnie zanim jeszcze dostała propozycję. Nasza poczta pantoflowa działa nieprawdopodobnie sprawnie, zupełnie jak wśród starszych pań. Praca policjantów z wydziału zabójstw to stresujące zajęcie, w dodatku jest ich niewielu, na stałe zatrudnia się tylko dwadzieścia osób, i wystarczy ledwie jedna dodatkowa przyczyna napięcia (czyjeś odejście, pojawienie się kogoś nowego, za dużo roboty, za mało roboty), aby wytworzyło się coś w rodzaju hysterii o zabarwieniu gorączki kabinowej, gdzie aż roi się od skomplikowanych

sojuszy i szalonych plotek. Zwykle jestem nie w temacie, ale wieści na temat Cassie Maddox przekazywano tak głośno, że dotarły nawet do mnie.

Po pierwsze dlatego, że była kobietą, co wywołało kiepsko skrywane oburzenie. Wszyscy jesteśmy świetnie wytrenowani, tak aby gorszyło nas zło, które powodują uprzedzenia, ale i tak daje się wyczuć uparte i nostalgiczne nuty tęsknoty za latami pięćdziesiątymi (nawet wśród ludzi w moim wieku; na większości terytorium Irlandii lata pięćdziesiąte trwały do roku 1995, kiedy to kraj wykonał skok wprost w tacerowskie lata osiemdziesiąte), gdy można było zmusić podejrzanego do wyznania prawdy, strasząc go, że powie się mamusi, jedynymi obcokrajowcami w kraju byli studenci medycyny, a w pracy człowiek uwalniał się od męczących bab. Cassie była czwartą kobietą, którą przyjęto do wydziału zabójstw. Decyzja o zatrudnieniu jednej z jej poprzedniczek okazała się tak fatalną pomyłką (według niektórych zamierzoną), kobieta stała się legendą wydziału po tym, jak o mały włos nie zabiła siebie lub swojego partnera, gdy wkurzyła się i rzuciła pistoletem w głowę podejrzanego.

Na dodatek Cassie miała dopiero dwadzieścia osiem lat i zaledwie kilka lat temu skończyła Templemore. Wydział zabójstw to jedno z elitarnych miejsc i nie przyjmuje się tutaj ludzi poniżej trzydziestki, chyba że ojciec takiej osoby jest politykiem. Ogólnie rzecz biorąc, trzeba przepracować parę lat jako wywiadowca, pomagając, gdy ktoś potrzebuje ludzi do czarnej roboty, a następnie odpracować jakiś czas w co najmniej jednym lub dwóch wydziałach. Cassie zaliczyła niecały rok w wydziale narkotyków. Jak było do przewidzenia, poczta pantoflowa przekazała, że sypia z kimś ważnym lub jest czyjąś nieślubną córką albo – bardziej oryginalne – że złapała kogoś ważnego na kupowaniu narkotyków i praca była zapłatą za trzymanie języka za zębami.

Dla mnie Cassie Maddox nie stanowiła problemu. Byłem w wydziale zabójstw dopiero od kilku miesięcy, ale nie podobały mi się prymitywne i niewybredne podteksty, rywalizacja na samochody i wody kolońskie oraz dowcipy o lekko bigoteryjnym zabarwieniu, które nazywano „ironicznymi”, za każdym razem wciągałem się w długi i drobiazgowy wykład na temat definicji ironii. Ogólnie rzecz biorąc, wołałem kobiety od męczących. Sam również odczuwałem

pewnego rodzaju niepewność co do swojego miejsca w wydziale. Miałem prawie trzydzieści jeden lat i dwa lata przepracowałem jako wywiadowca, a dwa w wydziale prewencji, więc mój angaż nie był tak niejasny jak Cassie, ale czasami myślałem, że wyżsi rangą oficerowie uważali, że jestem dobrym detektywem na bezmyślny, zaprogramowany sposób – tak jak niektórzy mężczyźni zakładają, że wysoka, szczupła blondynka jest piękna, nawet jeśli ma twarz przypominającą indyka z wytrzeszczem – ponieważ miałem wszystkie atuty. Mówię z doskonałym akcentem BBC, którego nauczyłem się w szkole z internatem jako kamuflażu ochronnego, a upłynie jeszcze sporo czasu, zanim kolonizacja przestanie działać: chociaż Irlandczycy kibicują absolutnie wszystkim drużynom, którym zdarzy się zagrać przeciwko Anglii, a ja sam znam wiele pubów, gdzie nie mógłbym zamówić drinka, nie ryzykując, że ktoś rozwali mi na głowie kufel, to wciąż zakładają, że ktoś z akcentem brytyjskim jest inteligentniejszy, lepiej wykształcony i w ogóle bardziej prawy. Na dodatek jestem wysoki, mam kościstą, szczupłą budowę ciała, dzięki czemu, jeśli garnitur jest dobrze skrojony, wyglądam smukło i elegancko, jestem także dość przystojny w nietypowy sposób. W agencji aktorskiej Central Casting na pewno uznano by mnie za dobrego detektywa, może nawet genialnego, nietuzinkowego samotnika, który bez strachu ryzykuje życie i zawsze łapie przestępcę.

Z powyższym opisem nie mam praktycznie nic wspólnego, ale nie byłem pewien, czy ktokolwiek to zauważył. Czasami, po zbyt dużej ilości wódki wypitej w samotności, do głowy przychodziły mi barwne, paranoiczne scenariusze, w których nadinspektor odkrywa, że tak naprawdę to jestem synem urzędnika z Knocknaree i zostaje przesunięty do wydziału do spraw własności intelektualnej. Doszedłem do wniosku, że gdy dołączy do nas Cassie Maddox, wszyscy zajmą się nią, a mnie zostawią w spokoju.

Kiedy się w końcu pojawiła, wielu rozczarowało. Mnóstwo plotek sprawiło, że wyobrażałem sobie kogoś z serialu telewizyjnego, z nogami po szyję i włosami jak z reklamy szamponu, i pewnie w obcisłym kombinezonie. Nasz nadinspektor, O’Kelly, przedstawił ją podczas poniedziałkowej odprawy, a ona wstała i powiedziała coś standardowego na temat tego, że cieszy się, że dołączy do wydziału, i ma nadzieję, że sprostą jego wysokim standardom; była zaledwie

średniego wzrostu, miała ciemne kręcone włosy, chłopięco szczupłą budowę ciała i kwadratowe ramiona. Nie była w moim typie – zawsze lubiłem słodkie, malutkie, drobne dziewczyny, które mógłbym poderwać do góry i unieść jedną ręką – ale w niej coś było: może sposób, w jaki stała, cały ciężar ciała przesuwając na jedną nogę, wyprostowana i spokojna niczym gimnastyczka; a może po prostu otaczająca ją tajemnica.

– Słyszałem, że jej rodzina to masoni i że grozili rozwiązaniem wydziału, jeśli jej nie przyjmie – odezwał się za moimi plecami Sam O'Neill. Sam to przysadzisty, wesoły, niewzruszony facet z Galway. Nie przypuszczałem, że i jego porwie tsunami plotek.

– Na litość boską – powiedziałem. Sam uśmiechnął się i pokręcił głową. Wróciłem do przyglądania się Cassie, która usiadła i oparła stopę o krzesło przed sobą, kładąc notatnik na udzie.

Nie była ubrana jak policjant z wydziału zabójstw, ale z czasem to się pewnie zmieni. W zamian za pieniądze podatników oferujemy im podnoszący na duchu, oklepny schemat. Ubieramy się głównie podczas wyprzedaży w sklepie Brown Thomas i od czasu do czasu przychodzimy do pracy ubrani w żenująco identyczne mundurki. Do dzisiaj największym kretyńcem w wydziale pozostał Quigley, który mówił jak Daffy Duck z akcentem z Donegal i nosił pod garniturami podkoszulki ze sloganami (MAD BASTARD), bo myślał, że kogoś tym zaszokuje. Kiedy wreszcie zrozumiał, że nikt z nas nie jest zaszokowany ani w najmniejszym stopniu zaintrygowany, poprosił mamusię, żeby przyjechała na jeden dzień i poszła z nim na zakupy do sklepu BT.

Tamtego dnia zaliczyłem Cassie do tej samej kategorii. Miała na sobie bojówki i wełniany sweter w kolorze wina z za długimi rękawami oraz niezgrabne adidas i uznałem to za pretensjonalną pozę: Patrzcie, jestem zbyt wyluzowana na wasze konwenanse. Iskra niechęci, którą tym rozpałała, zwiększyła tylko moje zainteresowanie. Część mnie czuje pociąg do irytujących kobiet.

Przez następnych parę tygodni nie zwracałem na nią uwagi, zostało tylko ogólne wrażenie, które wywołuje w miarę dobrze wyglądająca kobieta w środowisku, gdzie znajdują się głównie sami mężczyźni. Tom Costello, nasz siwowłosy weteran, pokazywał jej co i jak, a ja pracowałem nad bezdomnym, który został pobity na śmierć na ulicy.

Jakiś depresyjny, nieubłagany ton przeniknął z jego życia do śmierci i była to jedna z tych spraw, które od samego początku są beznadziejne – żadnych tropów, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, ktokolwiek go zabił, był prawdopodobnie tak pijany albo naćpany, że nawet tego nie pamięta – więc buzująca we mnie iskra napalonego nowicjusza zaczynała trochę wygasać. Zostałem przydzielony do Quigleya, co się nie sprawdzało; jego poczucie humoru ograniczało się do odgrywania przydługich kawałków z *Wallace’a i Gromita*, a następnie wybuchania śmiechem w stylu Woody’ego Woodpeckera, co oznaczało, że miało to być śmieszne. Najbardziej dołował mnie fakt, że przydzielono mnie do niego nie dlatego, że będzie miły dla nowego, ale dlatego, że nikt inny nie chciał z nim pracować. Nie miałem ani czasu, ani energii, żeby poznawać Cassie. Czasami zastanawiałem się, jak długo moglibyśmy tak funkcjonować. Nawet w małym wydziale zawsze znajdują się ludzie, z którymi co najwyżej wymieniania się skinienie głowy i uśmiech w korytarzu, po prostu dlatego, że ich ścieżki nigdy się ze sobą nie skrzyżują.

Zostaliśmy przyjaciółmi, ponieważ jej skuter, kremowa vespa rocznik 1981, z jakiegoś powodu, pomimo statusu klasyka, przypomina mi szczęśliwego durnia z owczarkiem szkockim na opakowaniu pedigree. Mówię na vespę „kosiarka”, żeby dokuczyć Cassie; ona nazywa mojego poobijanego białego land-rovera „pojazdem dla biednych”, robiąc przy tym dziwną, współczującą uwagę na temat moich dziewczyn, albo „ekomobilem”, kiedy jest w kłótliwym nastroju. „Kosiarka” złośliwie wybrała sobie mokry, wietrzny dzień września, by zepsuć się przed budynkiem, w którym pracowaliśmy. Wyjeżdżałem właśnie z parkingu, gdy dostrzegłem drobną, przemokniętą dziewczynę w czerwonej kurtce przeciwdeszczowej, która wyglądała jak Kenny z *South Park*. Stała obok swojego małego, ociekającego wodą skutera i krzyczała za autobusem, który właśnie ją ochlapał. Zatrzymałem się i zawołałem przez okno:

– Pomóc ci?!

Spojrzała na mnie i odkrzyknęła:

– Skąd ci to przyszło do głowy?! – A potem, co kompletnie mnie zaskoczyło, zaczęła się śmiać.

Zakochiwałem się w niej przez całe pięć minut, kiedy usiłowałem zapalić vespę. W za dużej kurtce przeciwdeszczowej wyglądała jak

ośmiolatka, do kompletu brakowało jej tylko kaloszy w biedronki, a wewnątrz czerwonego kaptura skrywało ogromne, brązowe oczy, sklejone od deszczu rzęsy i twarz przypominającą kociaka. Miałem ochotę delikatnie ją wytrzeć ogromnym, puszystym ręcznikiem przed trzaskającym ogniem. Ale wtedy ona powiedziała:

– Czekaj, daj mi. Trzeba wiedzieć, jak to cosik przekręcić. – A ja uniosłem brew i odparłem:

– Cosik? Doprawdy, dziewczęta.

Natychmiast tego pożałowałem – nie miałem talentu do przekomarzania się, a nigdy nie wiadomo, przecież mogła być jakąś żarliwą feministyczną ekstremistką, która zrobi mi w strugach deszczu wykład na temat Amelii Earhart. Lecz Cassie spojrzała na mnie przeciągle z ukosa, a następnie klasnęła w mokre dłonie i powiedziała lekko chropawym głosem Marilyn:

– Ojej, a ja tak marzyłam o księciu w błyszczącej zbroi, który przyjdzie uratować taką malutką dziewczynkę jak ja! Tylko że w moich marzeniach był przystojny.

I jak w kalejdoskopie w jednej sekundzie wszystko się zmieniło. Przestałem się w niej zakochiwać i zacząłem ją ogromnie lubić. Spojrzałem na jej kurtkę z kapturem.

– O mój Boże, zaraz zabiją Kenny’ego – powiedziałem, wrzuciłem „kosiarke” na tył land-rovera i odwiozłem ją do domu.

• • •

Mieszkała w garsonierze – nazwy tej wynajmujący zwykle używają do opisanía kawalerki, w której jest miejsce dla ewentualnych gości – na ostatnim piętrze na wpół rozpadającego się georgiańskiego domu w Sandymount. Ulica była cicha, szerokie, otwierane pionowo okno wychodziło ponad dachami na plażę. W środku stały drewniane regały na książki zapchane starymi wydaniemami w miękkich okładkach, niska wiktoriańska sofa z obiciem w odcieniu wściekłego turkusowego oraz duży futon nakryty patchworkowym pledem, kilka muszelek, kamieni oraz kasztanów leżało na parapecie okna, brakowało ozdób czy plakatów.

Niewiele pamiętam z tamtego wieczoru, tak samo jak i Cassie. Rozmawialiśmy na kilka tematów, ale nie umiałbym powtórzyć nawet jednego słowa, które wtedy padło. Uważam, że to bardzo dziwne, a gdy jestem w odpowiednim nastroju – bardzo magiczne; tamten

wieczór kojarzy mi się ze stanami nieświadomości, które przez wieki były przypisywane działaniom wróżek, czarownic czy kosmitów, a z których nikt nie powraca niezmieniony. Lecz w takich zagubionych kieszeniach czasu zwykle przebywamy samotnie; jest coś pociągającego w tym, że można by je z kimś dzielić, co z kolei przywodzi mi na myśl bliźnięta, które unosząc się bezwładnie w wypełnionej ciszą przestrzeni, powoli wyciągają na oślep dłonie.

Wiem, że zostałem na kolację – studencką kolację składającą się ze świeżego sosu do makaronu prosto ze słoika i gorącej whiskey w porcelanowych kubkach. Pamiętam, jak Cassie otworzyła ogromną szafę, która zajmowała prawie całą ścianę, by wyjąć mi ręcznik do wytarcia włosów. Ktoś, prawdopodobnie ona sama, wstawił do szafy półki na książki. Umieszczone były nieregularnie, na różnych wysokościach i wyładowane różnymi rzeczami; nie przyglądałem się dokładnie, ale były tam wyszczerbione emaliowane rondle, notatniki w marmurkowych okładkach, miękkie swetry w perłowych kolorach, stosy zapisanych papierów. Przypominało to tło jednej z tych starych ilustracji przedstawiających bajkową chatkę.

Pamiętam, że w końcu spytałem:

– Jak ci się udało dostać do wydziału? – Rozmawialiśmy o tym, jak się aklimatyzuje, i wydawało mi się, że rzuciłem pytanie od niechcenia, ale ona posłała mi szelmowski uśmieszek, jakbyśmy grali w warcaby, i właśnie złapała mnie na próbie odwrócenia jej uwagi od niezdarnego ruchu.

– To znaczy? Chodzi ci o to, że jestem dziewczyną?

– Raczej, że jesteś bardzo młoda – odparłem, chociaż oczywiście miałem na myśli obie te rzeczy.

– Costello powiedział do mnie wczoraj „synu” – oznajmiła Cassie.

– „Dobrze, synu”. Zaraz zresztą się zdenerwował i zaczął się jękać. Pewnie się bał, że go pozwę.

– Można to uznać za komplement.

– Tak też to rozumiałam. Szczerze mówiąc, jest słodki. – Włożyła do ust papierosa i wyciągnęła w moją stronę rękę; rzuciłem jej zapalniczkę.

– Ktoś mi powiedział, że byłaś tajnym agentem, pracowałaś jako prostytutka i wpadłaś na jakąś grubą rybę. – Cassie tylko odrzuciła mi zapalniczkę i uśmiechnęła się.